

MARYA KONOPNICKA

W WINIARSKIM FORCIE



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAN — WILNO — ZAKOPANE

45.0.35
6/viii 2.6.



KON

W WIN

292

Ranek był świeży, wiosenny, słoneczny.

W winiarskim forcie, w Poznaniu, piał grubym chrypliwym głosem wielki kalakucki ¹⁾ kogut. Piew to był głuchy, jakby ze ściśniętej gardzieli, idący, zakończony charczeniem dwóch kłócących, się z sobą falsetowych ²⁾ tonów, urwanych na jakieś niesfornej, czkawkę przypominającej nucie

Sam kogut wszakże wiele o głosie swoim rozumieć musiał, gdyż po każdym zapianiu stawał, jak wryty i, wysuwając coraz wyżej z barków grubą, włochato obrosłą szyję, szybko, jakgdyby w podziwie, obracał na wszystkie strony łeb ciężki nakryty wielkim, aż na oczy spadającym pierzastym szyszakiem.

W zdumieniu swoim zapominał nawet na chwilę o rozgrzebywaniu śmietnika, stojąc tak na jednej z silnych, aż do ostrogi kępami pierza obrosłych nóg czarnych, podczas gdy druga, wyciągnięta w tył, ze skulonymi pazurami, zbierała się niezgrabnie do postawienia następnego kroku.

¹⁾ Kalakucki — pochodzący z Indyi Wschodnich. z miasta Kalkuty.

²⁾ Falset — głos męski, zakrawający na żeński.

Nim go wszakże postawić zdążył, już ze wszystkich przedmieść pobliskich, z Waliszewa, z Nowej-Grobli, ze Środki — rozlegało się jasne, szerokie, donośne pianie zwykłych polskich kurów, to pojedynczo, to razem po dwóch, po trzech, jak tam którego chwyciła myśl dobra. Pomiedzy tymi wyrobionymi i w doskonałą muzyczną frazę¹⁾ zaokrąglonymi głosami słyhać było piskliwe, zupełnie jeszcze pozbawione szkoły wyrwasy młodych kogutków, które zaraz wszakże zagłuszał jeden lub drugi wyborny solista²⁾).

Wielki kałakut słuchał, przechylał na obie strony obciążoną ogromnym czubem i nabrzmiałymi koralami głowę, sinawą błonką zakrywał na jedno mgnienie oka okrągłe, rubinowe źrenice, ale się zwyciężonym nie uznawał i, skoro tylko nieco po przedmieściach ucichło, bił po sobie ciężkimi lotami i zanosił się grubem, chrapliwem pianiem.

Natychmiast czyste, metaliczne głosy jego adwersarzy³⁾ uderzały w powietrze ze zdwojoną siłą. Czuć w nich było rozdrażnienie niezwykle.

Sąsiad z winiarskiego fortu świeżym był przybyszem; przedmiejskie koguty nie nawykły jeszcze do jego tubalnego⁴⁾ głosu. Wiadomo było, iż uważają go wprost za szykanę⁵⁾.

Kalakut nie mniej czuł się podrażnionym.

¹⁾ Fraza — zaokrąglony ustęp melodyi.

²⁾ Solista — śpiewak, który sam występuje.

³⁾ Przeciwników.

⁴⁾ Głośny, grzmiący, podobny do głosu trąby.

⁵⁾ Wydrwiwanie, dokuczanie.

Nie umiał nawet zgola wytłómaczyć sobie, dlaczego właściwie ksiądz Johann Wurst, pan jego, przeniósł się tu z Westfalii, z miasteczka, gdzie wszystkie koguty tak samo basem pialy i gdzie żaden kur nie robił skandalu¹⁾ jakimiś wykrzykami z za płota.

Było to wprost nie do pojęcia.

I znów się ciężkimi skrzydłami po żebrach tłukł i zanosił przeraźliwem pianiem.

— Szwabska — krew! — zaklął wachmistrz Dzieszuk, czyszcząc odświętny mundur przy otwartem oknie. — Drze się, jakby kto barana rznął. Że też to choć i pianie, to insze katolickie, a insze znów szwabskie...

Wachmistrz Dzieszuk, chłop ogromny, a suchy, jak chmielowa tyka, dawno już w wojsku służył, a z żołnierzy Polaków był w forcie najstarszym. Tutaj ostry jego wąs poszroniał, tu mu twarz zwiędła i wyschła, tu się w ptasi dziób zaostrzył nos jego kościsty, tu mu się nieco pochyliły bary, tutaj ociężały nogi.

Ale, chociaż tak dawno karabin pruski dźwigał, ze »szwabami« nigdy jakoś pogodzić się nie mógł.

Dwa też były u niego gatunki ludzi i rzeczy: »Szwabska — krew« i »Polska — krew«. Wszystkie nawet wypadki życia swojego do tych dwu kategorii odnosił. Dwa razy był naprzykład »szwabska — krew« raniony: w szlezwiskiej²⁾

¹⁾ Awantury.

²⁾ Wojna Prus z Danią w r. 186

i francuskiej¹⁾ wojnie; a raz mu ksiądz Cydzik, proboszcz dywizyjny²⁾, podarował »polska — krew«, książkę od pacierza ze złożonymi brzegami i pięknym futerałem.

Jeden tylko odolanowski i koźmiński atak³⁾ kwiecniowy wspominając, mieszał te obie kategorie tak, że sam już nie wiedział, gdzie tam w tej zawierusze była krew polska, a gdzie znowu szwabska, i dopiero kiedy w opowiadaniu do bicia słupów granicznych przez generała Willisena przychodziło⁴⁾ — ostygł, prostował się, a rozłożywszy suche i długie ramiona, jak męka Pańska na rozdrożu, milcząc stał i gestem pokazywał, że z jednej strony była wówczas »polska«, a z drugiej »szwabska« krew.

Wąs mu wtedy szreniasty drżał nad niemą wargą, a zresztą żaden z willisenowskich słupów nie był bardziej nieruchomy i więcej milczący.

Co niedziela paradował Dzieszuk ze swoją książką od pacierza na mszy żołnierskiej, którą proboszcz dywizyjny wczesnym rankiem u Fary miewał.

¹⁾ Wojna Prus z Francją w r. 1870—71.

²⁾ Dywizya — oddział wojska z 6 pułków.

³⁾ Mowa tu o ataku Prusaków na rozdzielone i osłabione podstępnie oddziały wojska polskiego w Odolanowie i Koźminie dnia 19 kwietnia 1848 r.

⁴⁾ Dnia 20 kwietnia 1848 r. wyszedł dekret króla pruskiego, dzielący Wielkie Księstwo Poznańskie na część polską i niemiecką; generał Willisen, przysłany wówczas do Księstwa z ramienia rządu berlińskiego, pełnił obowiązki organizatora nowego porządku w kraju.

Piękna to rzecz była widzieć, kiedy w długiej, po-jezuickiej nawie parami się ustawiała wiara z winiarskiego fortu, mając nad sobą, jak sztandar, krótko strzyżony łeb Dzieszuka, który wzrostem nad wszystkimi górował. Czasami łeb ten, szronem pokryty, zdawał się być tak wysoko, jakby nim Dzieszuk chciał dostać tych gwoździ, którymi przybite były nogi ukrzyżowanego w ołtarzu Chrystusa i bić o nie czołem.

Patrzyli też w niego młodsi, jakby w tęczę, a niejeden, co księdza nie dojrzał i dzwonka nie pojął, ruchami owego łba Dzieszukowego w słuchaniu mszy się rządził.

Stał Dzieszuk, stali wszyscy, jakby w ziemię wrosli; klękał — klękali, niby las podcięty; bił się w piersi — głuchy łomot setek rąk, w kulak złożonych, rozlegał się, jak stłumione uderzenia młotem.

W jednym tylko nie mogli podkomendni naśladować wachmistrza swojego, a mianowicie w tym wspaniałym geście, jakim Dzieszuk książkę swoją z futerała wyciągał, złożone jej karty otwierał, a podniósłszy do wysokości uzbrojonego w okulary poleźnego nosa, na całą długość ramion wyciągniętą przed nim trzymał. Tego stanowczo nie mógł naśladować nikt, i na tym punkcie pozostał Dzieszuk niedościgłym wzorem.

Niemniej wszakże czuła się wiara dumną z posiadania wachmistrza, który ma tak piękną książkę, a co niedziela ścisk był koło Dzieszuka, bo każdy rad był choć futerał od niej podczas nabożeństwa trzymać.

Nie było komu powierzał go Dzieszuk i nie

wpierw w ręce dał, aż, ostrym swoim wzrokiem na wylot kandydata do trzymania przebrawszy, uprzytomnił sobie jego całotygodniowe sprawki. Boże broń »makuly«¹⁾ jakiej i »zatrzęsienia oczu«²⁾; jak mawiał. Uważano też niemal owo trzymanie futerała za niższy jakby stopień służenia do mszy, a Dzieszukowe czytanie z książki jakby za celebrę³⁾.

Umiął wszelako Dzieszuk być wspaniałomyślnym, a kiedy wiara dobrze się sprawiała, to półgłosem modlitwy zwolna czytał, aby je najbliżsi słyszeć mogli. Pomdlały mu nieraz srodze od trzymania książki onej ręce; ale nie wpierw ją składał, aż ksiądz Cydzik, zrzuciwszy ornat po mszy, w albie⁴⁾ tylko u ołtarza stawał i, obróciwszy na kościół twarz szczupłą, bladą i przezroczystą niemal, znakiem krzyża szeroko zakreślonym w powietrzu nad pochylonemi głowami żołnierzy, zaczynał naukę niedzielną: »W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego«.

Żegnał się wtedy Dzieszuk, żegnała za Dzieszukiem wiara, a po całej nawie szedł szmer jednostajny, aż ucichł gdzieś u drzwi, u kruchty.

Proste były nauki ks. Cydzika, ale i Dzieszukowi i podkomendnym jego niezwykle trafiały do serca. Cichy, delikatny głos mówcy przejmował serca te na wskrós już, dźwiękiem samym; tak, że

¹⁾ Plamki.

²⁾ T. j. przewinienia.

³⁾ Odprawianie nabożeństwa.

⁴⁾ Alba — długa, biała szata, którą ksiądz kładzie pod ornat.

ledwo ksiądz usta otworzył, już się dawało słyszeć w szeregach powstrzymywane sapanie.

Dzieszuk i w tem przecież karność utrzymać potrafił. Jakże to? To jeden będzie sobie w wąsy dmuchał, a drugi nie będzie słyszał nauki przez niego? Jeszcze co!... Oglądał się tedy marszem¹⁾, chrząkał, a sapanie wnet cichło po kątach.

Dopiero kiedy wachmistrz dobył czerwonej bawełnianej chustki i nos potężny nią utarł, a westchnął sobie z głębi, wolno było pofolgować²⁾ wezbranemu sercu.

Wtedy to, jak na komendę, ucierała wiara nosy, a strzeliste westchnienia unosiły się, jak wiatr, aż pod wielki, kryształkami obwieszony świecznik, którego płomyki też zaczynały migotać i mrugać, jak oczy, do płaczu gotowe.

Płakano wszakże przy większych tylko okazjach. Ot, kiedy na ten przykład Dzieszuk z książką swojej zagrmiał na mszy pasterskiej: »Bóg się rodzi, moc truchleje«; albo kiedy na wielkopiątkowej pasyi³⁾ ryknął wielkim głosem: »Jezu Chryste Panie miły, Baranku bardzo cierpliwy!« — lub kiedy wreszcie, podczas rezurekcji⁴⁾, jak z moździerza, huknął: »Wesoły nam dziś dzień nastał!« Tę pieśń lubił szczególnie, a w miarę, jak ją śpiewał, głos jego młodniał i nabierał słodczy, tak, że przy słowach: »Witajże, Jezu najśłodszy, Sy-

¹⁾ T. j. surowo, zmarszczywszy się.

²⁾ Dać wypoczynek.

³⁾ Pasya — nabożeństwo na pamiątkę męki Pana Jezusa, odprawiane w Wielkim Poście po południu

⁴⁾ Nabożeństwo na Wielkanoc.

naczkę mój najmilszy», podobny był gruchaniu gołębia, który, lubo przytwardy już nieco na pieczeń, tokować¹⁾ przecież nie zapomniał jeszcze.

Słodycz ta pozostawała mu w głosie i w spojrzeniu na cały ten dzień, który raz na zawsze spędzał u kuma swego, strażnika trzeciej bramy w winiarskim forcie, Wojciecha Kociały, igrając z dziećmi jego i pożywając dar Boży, iż to sam, sierota stary, domu swego i ogniska nie miał, odkąd syn jego jedyny pod Odolanowem... szwabska krew!

Nie kończył tego wachmistrz Dzieszuk nigdy; ale się przy tych słowach znów stawał podobny do willisenowskich słupów.

A ot i dziś, wielkiego dnia, po wielkiej nocy i święconego jajka Bóg doczekać dał. Od wczoraj już fort cały pełen był zapachów gorącego ciasta i mięsiwa, które zagłuszała nieco czeremcha, kwitnąca bujnie i rozgrzana słońcem kwietniowem.

Dzwony u Fary biją a biją, jakby pęknąć miały, a Dzieszuk nie śpieszy się jakoś. A czego się śpieszyć?

To nie ksiądz Cydzik będzie dzisiaj mszę żołnierską odprawiał. Złe jakieś szeptły chodziły już oddawna po winiarskim forcie, ha, po mieście całem. Gadali ludzie, że nowy proboszcz przybywał z daleka; gadali, że nawet po polsku nie umie...

Nie umie? Jakżeby to? Po jakiemużby się tu z ludźmi dogadał?

Tak sobie rozumował Dzieszuk, ale jakby mu mrówki po sercu lały.

Ksiądz Cydzik od kilku dni nie wychodzi

¹⁾ Głos wydawać, którym się wabia (niektóre ptaki).

z domu. Powiadają, że chory. Może chory, a może i nie chory. Może to tylko polityka taka. Jak politykować nie ma, kiedy od piątku na cudzych jakby śmieciach siedzi, bo się już nowy proboszcz sprowadził z betami, z gralami, z kurami, ot i z tym kałakutem przeklętym, a dziś pierwszą mszę żołnierską ma mieć...

A no, da się to widzieć! Przestał mundur czyścić; wdział go na siebie i ruszył naprzód.

Wchodzi wiara, jak zawsze, dwójkami do Fary, a łeb Dzieszuka wyżej jeszcze, niż zwykle, nad wszystkimi sterczy.

Na prawo przed ołtarzem klęczy w ławeczce ksiądz Cydzik, w starej swojej, znoszonej sułannie. Obie ręce złożone na wytartym brewiarzu¹⁾, na rękach oparte czoło; z boku tylko widać nieco twarz jego zmizerowaną i żółtą, jak wosk.

Zaruszał się wąs szroniasły nad wargą Dzieszuka, ale nic. A tuż zaraz i dzwonek brzęczy u drzwi zakrystyi.

Wszedł nowy proboszcz — wspaniała osoba — i tubalnym głosem zaintonował »*Asperges*«²⁾). Rozstąpiły się dwójki na obie strony nawy, a celebrant ruszył środkiem, poprzedzony przez wylękłego i płaczącego nogami chłopaka z kubelkiem wody, w komeżce.

Niema co, wspaniała osoba! Gdzie tam do niego księdzu Cydzikowi! Czarna kędzierzawa głowa, twarz mięsista, rumiana, świecące oczy;

¹⁾ Zbiór wszystkich modlitw codziennych dla księży.

²⁾ Pierwsza część mszy, zaczynająca się od wyrazu *Asperges* — pokrop.

ręce białe i tłuste, ruchy zamaszyste. A buty skrzypią, jak u pana komendanta; a z pod kapy¹⁾ widać nową błyszczącą sutannę. Kropidłem macha, jakby kij w ręku trzymał; po ludziach bystro pogląda, jakby ich odrazu przeczuć chciał. Jaki taki oczy spuścić musiał.

Zaczęła się msza.

Ksiądz Cydzik nie podnosił głowy.

Zdawało się Dzieszukowi, że przez blade, cienkie palce klęczącego przesączyło się na biewiarz jakby kropel parę... i nagle go coś przy sercu ścisnęło. Żeby sobie wybić próżne myśli z głowy, dobył książkę i modlić się z niej zaczął. Ale modlitwa mu nie szła. Szczególniej to go stropiło, że nowy organista, który razem z nowym proboszczem nastał, trele jakieś wywodzi, a zwykłych pieśni wcale nie zaczyna.

I msza odprowadzała się jakoś dziwnie krótko, wężłowato. Nie było w niej tych długich modłów, tych cichych zachwyceń dawnego proboszcza. Od »*Introitu*«²⁾ do »*Ewangelii*« — jakby z bicza trząsł. Połowy, gdzieś ćwierci zwykłych modlitw swoich nie zdążył Dzieszuk odczytać, kiedy już ksiądz »*Credo*«³⁾ śpiewał. Przed podniesieniem znów oczy od książki oderwać musiał wachmistrz, bo mu się zdało, że świece ciemniej się jakoś u ołtarza palą, i że chyba połowa pogasła. Ale nie. Paliły się wszystkie. Tylko czemu ten organista nie zaczyna pieśni?

¹⁾ Kapa — zwierzchnia szata kapłańska.

²⁾ Wchodzi (łac.).

³⁾ Wierzę (łac.).

Ta pieśń doroczna, ta pieśń nie śpiewana tak mu wierciła w głowie, że, padłszy na kolana przy podniesieniu, bił się w piersi, jak na »*Agnus*«¹⁾, a za nim wiara grzmociła się tak samo, aż do ostatniego.

Ksiądz Cydzik klęczał nieporuszony. Zdawało się, iż to jest figura kamienna, której nadano twarz ludzką, bardzo bladą.

Po »Podniesieniu« szronowały łeb Dzieszuka obrócił się ku chórowi. Natychmiast wiara uczyniła toż samo. Na chórze wszakże nie odezwała się pieśń oczekiwana.

Dzieszuk zupełnie modlić się nie mógł. Trzymał wprawdzie książkę swoją na wysokości nosa, ale litery i wiersze migały mu przed oczyma, jak czarne punkty i wężyki. Wydłużał i przyciągał ręce, ale to nie pomagało.

Westchnął nareszcie z uczuciem ulgi, kiedy ksiądz wysokim tonem zaśpiewał: »*Ite missa est*«²⁾ — *Alleluja!*«

Ano, kiedy »*Alleluja*«, to już dobrze. Przy najmniej się wie, że to po polsku. Już chrząknął, już wydał piersi, już nogi dla pewniejszego dobycia głosu rozstawił, kiedy nowy proboszcz, zrzuciwszy ornat, przed ołtarzem, w albie, z sutą u szyi wstęgą żółtą, do nauki stanął i, zakreślając szeroko w powietrzu nad zebranymi znak krzyża, donośnym odezwał się głosem:

¹⁾ Baranek (łac.).

²⁾ Idźcie — posłano (ostatnie wyrazy mszy).

»Im Namen des Vaters, des Sohnes, und des heiligen Geistes.¹⁾ — Amen!«

Dzieszuk, który już do czoła rękę był podniósł, spuścił ją, jak paraliżem tknięty.

Co to? Co to jest? Co to ma znaczyć?

— »*Meine theuren Brüder!*«²⁾ — zaczął ksiądz swoją przemowę.

— Chryste! To naprawdę?... Chryste! Chryste! Chryste!...

Wypadła z głuchym łoskotem książka z rąk Dzieszuka, a ręce te, drżące i kościste ręce podnosiły się zwolna coraz wyżej ku krzyżowi.

Wiara patrzyła w niego, jak w obraz cudowny. A łeb Dzieszuka razem z rękoma podnosić się zdawał tuż, tuż do nóg Ukrzyżowanego. Jeszcze chwila, a dostanie on nóg tych rękoma, oplecie je, uściśnie i włóczyć się będzie u tych stóp przebi- tych i nie puści, póki go tu zaraz nie przeżegna po polsku ksiądz Cydzik, póki Mateusz, stary organista, nie zagrzmi: »Wesoly nam dziś dzień nastał«.

Wesoly... Chryste! Chryste! Toż dzień sądu, a nie dzień wesela. Chryste! to takie zmartwychwstanie Twoje? To nie zmartwychwstanie, ale męka! Męka, i krew, i żółć, i przebicie boku włócznią!... Słońce i gwiazdy się zaćmiły, ziemia się wstrząsła, powstawali z grobu umarli!... Boże, Boże! czemuś mnie opuścił? Boże, Boże! czemuś mnie opuścił?...

¹⁾ W Imię Ojca, i Syna, i Ducha Św. (niem.).

²⁾ Moi kochani bracia (niem.).

I ryknął stary Dzieszuk nagłym płaczem, i padł na kolana, i, wpatrzony w Chrystusa ukrzyżowanego, wielkim głosem zaczął śpiewać:

»Któryś za nas cierpiał rany,
Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami!«

A za nim wiara tuż na kolana i w szloch, i w ono błaganie żalosne...

Stropił się nowy proboszcz u ołtarza, pomylił, z drugiego końca zaczął i znów się pomylił, ale nauki nie przerwał. Chłopaka tylko w komeżce w bok szturchnął, wskazując mu palcem Dzieszuka.

Chłopak podszedł do wachmistrza i trącił go w ramię. Nic. Trącił go tedy powtórnie. Ale Dzieszuk nie czuł tego nawet. Zdawało mu się, że sły-szy wbijanie nowych słupów willisenowskich... Wszakże on je pamięta dobrze. Od Noteci stały, od Krotoszyna, od Międzychodza, od Kępna, ale nie tu, nie tu, nie tu! Tu nie było ani jednego! On wie, że nie było, on przysiądź gotów!

I rozpostarł ręce, i, twarzą na ziemię ległszy, rozkrzyżował się szeroko na kamiennych taflach, jakby broniąc przystępu tym słupom, które się same poruszały i coraz dalej szły, szły...

Ksiądz Cydzik klęczał nieruchomy z pochyloną na ręce twarzą, a jego wąłą postacią wstrząsało wewnętrzne łkanie.

Dawno już się nauka skończyła, a ksiądz Johann Wurst przez zakrystyę na plebanie wracał, kiedy Dzieszuk oderwał swój łeb siwy od kamiennych tali podłogi, podniósł się, zatoczył i, jak pi-

jany ku drzwiom iść zaczął, zapomniawszy po raz pierwszy zabrać książkę swoją.

Przy drzwiach trącił go Kociała.

— Ej, co tam, kumie! Dajcie spokój! Czekamy ze święconem jajkiem...

— Kto święcił? — zapytał głuchym głosem Dzieszuk.

— A któżby?... Nowotny ¹⁾...

— Pożywajcie z Panem Jezusem — odparł Dzieszuk i powłókł się na kwaterę.

Tu zrzucił mundur, padł na łapczan, ukrył głowę w ręce, i długo widać było, jak się wstrząsa jego grzbiet kościsty.

Nad wieczorem rozbudził się, zjadł kawał czarnego żołnierskiego chleba i, zapaliwszy fajkę, zaczął chodzić po szczupłej stancyjce.

Chodził długo. Już w forcie winiarskim wszystkie światła zgasły, a jeszcze jego ciężkie kroki rozlegały się wśród cichej nocy.

Niebo tymczasem zaciągnęło się lekkimi chmurkami, a ciepły, rzęsny deszcz wiosenny uderzył z pluskiem grubych kropli w ziemię.

Zatrzepotał się wtedy na grzędzie olbrzymi kałakut i zapiał na tę zmianę swym grobowym głosem.

Dzieszuk drgnął i nagle stanął. Stał przez chwilę, potem zarzucił stary lejebik ²⁾, czapkę nacisnął na uszy i wyszedł, przyciszając kroku.

Nazajutrz kucharka księdza Wursta podniosła

¹⁾ Nowy (proboszcz).

²⁾ Lejebik, lajbik — mundur wojskowy.

okrutny lament. Ulubiony kalakul nowego proboszcza leżał wyciągnięty tuż pod żerdzią, która mu za grzędę służyła. Grube jego, pierzem obrosłe nogi sterczały skulonymi pazurami wysoko do góry, szyja była skręcona, przy silnym dziobie nieco krwi zaschlej.

Była to zapewne »szwabska krew«.
